

## CO ZNACZY: BYĆ PROBOSZCZEM?

Włoska redakcja „*Communio*” zwróciła się do ks. Bruno De Biasio, będącego od 16 już lat proboszczem jednej z większych parafii w Mediolanie, z prośbą o możliwie pełną odpowiedź na dwa następujące pytania: 1<sup>o</sup> jak się przeżywa kapłaństwo na stanowisku proboszcza? 2<sup>o</sup> czy można obecnie mówić o kryzysie parafii i czy jest ona nadal wystarczająco sprawną strukturą Kościoła? Oto wypowiedź Autora:

1. Muszę wyznać, że starałem się zawsze być bardziej kapłanem aniżeli proboszczem, a raczej, wyrażając się jeszcze ściślej, starałem się być po prostu chrześcijaninem.

Chociaż z pojęciem proboszcza wiążą się określenia ojca i duszpasterza, wyznawałem nieraz, że nie traktuję ojcostwa jako wymiaru mającego określać moją osobę; wołałem raczej pojęcie *braterstwa*. Nie wykluczam, że takie podejście mogło zabązać bądź też czynić dwuznaczną w swojej wymowie moją posługę; wyznaję jednak, że pojęcia ojca, duszpasterza, proboszcza, a także i kapłana stają się dla mnie tym jaśniejsze w swej treści i tym bardziej przydatne jako narzędzie do oceniania siebie samego, im bardziej widzę siebie właśnie jako chrześcijanina i... brata.

Ośmielę się nawet powiedzieć, że im bardziej uświadamiam sobie w realizowaniu i odnawianiu swych codziennych odniesień do konkretnych sytuacji, a zwłaszcza do osób, tę moją tożsamość (chrześcijanina i brata), tym bardziej stają się dla mnie oczywiste i bliskie cechy charakteryzujące moje powołanie chrześcijańskie.

Wydaje mi się natomiast, że dopiero postawa, nastawienie oraz pragnienia zwłaszcza bliższych mi osób pozwalają mi zrozumieć, co oznacza ojcostwo i dostrzec w nim nie tylko bodziec, ale także pokrzepienie.

Nie wiem, czy nie będzie to samoobroną, jeśli wyznam, że dopiero niedawno doszedłem do przekonania, iż lepiej jest, gdy inni widzą we mnie proboszcza (duszpasterza, ojca), albowiem wówczas nie muszę sam siebie programować, ani też tworzyć jakiegoś obrazu, który miałbym później ukazywać na zewnątrz.

Sam ze swej strony stawiam przede wszystkim na autentyczność swego życia, a zwłaszcza na sposób przebywania z innymi na wspólnej drodze, która mimo różnorodności zadań i posług jest identyczna w swych początkach i końcu.

Niewątpliwie widzę siebie jakoś inaczej w odniesieniu do innych, w inny sposób także pojmuję ich odniesienie do mnie. Zawsze żywo reagowałem na ludzi, byłem wrażliwy na ich położenie i ta wrażliwość była motorem wielu moich posunięć od pierwszych lat mego kapłaństwa (które się rozpoczęło przed 40-tu laty). Muszę jednak wyznać, że wrażliwość ta mierzyła się dawniej miarą mego człowieczeństwa, z którego czerpałem cały zasób różnorodnych inicjatyw i środków zaradczych. Była jak gdyby lekarstwem, którego domagano się ode mnie, którym miałem się dzielić i faktycznie się dzieliłem zgodnie z moim rozeznaniem sytuacji (zwłaszcza w dziedzinie „sprawiedliwości”), połączonym z troską, by działać logicznie i konsekwentnie. Postępuję tak nadal, ale mam wrażenie, że uświadamiam sobie dokładniej ograniczenia i braki tak pojętej wrażliwości.

Chcąc wyjaśnić, w jaki sposób doszedłem do przeświadczenia o konieczności zmiany odniesień, powiem, że to nowe spojrzenie na mój kontakt z ludźmi szło niejako w parze z nowym zrozumieniem nadprzyrodzoności. Już od czasów seminaryjnych zawsze starałem się wierzyć w nadprzyrodzoność, ale traktowałem ją dawniej raczej jako teorię, którą łączyłem świadomie z tym wszystkim, czym żyłem na co dzień, postępując w miarę mych możliwości uczciwie i szlachetnie. Obecnie byłbym skłonny powiedzieć, że nadprzyrodzoność jest czymś konkretnym, z czym się spotykam w ramach bardziej autentycznego człowieczeństwa, w czym uczestniczę i czego osobiście doświadczam. W ten sposób problem wzajemnych odniesień między naturą a nadprzyrodzonością mam już niejako za sobą.

Nadzieja moja w odniesieniu do mego osobistego życia i do życia innych opiera się obecnie już nie na mojej uczciwości i szlachetności, ale właśnie na tym bardziej autentycznym („nowym”, „w Chrystusie”) człowieczeństwie. Człowieczeństwo to staje się źródłem, z którego wypływa konieczność i obiektywizm modlitewnego zwracania się do Boga; ono również sprawia, że czuję się istotnie zespolony z innymi i — aktualnie — całkowicie niezdolny do najmniejszego choćby wzrostu w tym „nowym życiu”, którego wszyscy razem jesteśmy tylko dłużnikami. Ze względu na tak pojęte człowieczeństwo nie ośmielałem się już pozostawać obojętnie na płaszczyźnie zwykłego, pocziwego i nieskrępowanego kumpłstwa z ludźmi, których spotykam, albowiem postawa taka byłaby dla mnie zdradą wzajemną naszej prawdziwej tożsamości. Człowieczeństwo to pozwala mi też odkrywać coraz to bardziej wnikliwie i jasno bariery oddzielające mnie od innych, poczynając od osób bardziej mi bliskich. Uważam także, że mając przed oczyma taki właśnie typ człowieczeństwa zdołałem osiągnąć prawdziwy cel

wszelkich moich zamierzeń, i tych podejmowanych już dawniej, i tych całkowicie nowych, albowiem samo odkrycie tego człowieczeństwa stało się początkiem mego nawrócenia i pozwoliło mi dostrzec autentyczną nowość w sobie samym i w innych.

Mogę ogólnie powiedzieć, że droga ta — a chodzi tu przecież o zwykłą, „wspólną drogę” — nie jest jakimś automatyzmem związanym z wiekiem, z upływem lat, lecz wiąże się ściśle z ponownym odkryciem prawdziwej podstawy wspomnianego wyżej „braterstwa”, którą jest sam Jezus Chrystus.

Twierdzę, że troska o wychowanie siebie do życia chrześcijańskiego jest najbogatszym i bardzo skutecznym drogowskazem porządkowania i dowartościowywania tradycyjnych czynności związanych z życiem parafialnym oraz należytego ocenienia wszelkich innych poczynań. Troska ta mówi mi, jak mam nauczać, jak sprawować liturgię, w jaki sposób podzielać położenie innych.

a) Patrząc przede wszystkim na samego siebie zdaję sobie sprawę z tego, że *głoszenie Słowa* jest służbą wymagającą ode mnie pierwszego, ale razem z innymi, realizacji tego Słowa, chociaż może się też stać okazją lub narzędziem opiniowania, oddalającym mnie od innych i stawiającym jakby ponad nimi.

Praktykuję dwa sposoby głoszenia Słowa, wiążąc je zawsze z możliwością wypowiedzenia osądu, o ile tylko Słowo Boże taką wypowiedź mi sugeruje. Pierwszy polega na tym, że odruchowo (może nazbyt często) czynię aluzję do moich ograniczeń i do przeżywanych przeze mnie trudności (w których uczciwy słuchacz bez trudu odnajdzie siebie). Drugi polega na cytowaniu zdań bardziej rozpowszechnionych wśród ludzi (z zachowaniem nawet typowego ich brzmienia). Uważam, że te moje spontaniczne wypowiedzi wynikają z konfrontacji Słowa Bożego z rzeczywistością przeżywaną (konkretnie przeze mnie) i są owocem porównywania mentalności ewangelicznej z myśleniem nam współczesnym, które staje się — w sposób mniej lub bardziej świadomy — udziałem nas wszystkich.

Od kilku lat głosimy Słowo Boże codziennie, na każdej Mszy św., idąc w tym względzie za sugestią jednego z nas, kapłanów, i odczuwając zawsze pozytywne tego skutki. Pragnę zauważyć, że nie jest to nauczanie podręcznikowe, dostosowane raz na zawsze do wszystkich; jest to raczej próba ukazywania tego, czym żyje aktualnie wspólnota, albo nawet poszczególne osoby; jest to sugerowanie lub stawianie wymagań — jakby kontynuacja dialogu rozpoczętego już wcześniej przez obecnych.

Pociecha i pokrzepienie płynące z lektury Pisma św. wzrosły we mnie nie z racji studium, ale ze względu na tę pewność, jaką

daje mi Biblia na drodze mego życia: codziennie odkrywam, że jest ona tą drogą, którą muszę przebiec na nowo.

b) Zastanawiając się wciąż nad tym, jak mam wszystko wykorzystać dla siebie, odkrywam także bogactwo *słów i czynności liturgicznych* wraz z wynikającymi z nich konsekwencjami dla życia codziennego. Przewyciężam coraz to mocniej niebezpieczeństwo celebrowania *dla* innych, przemieniając liturgię w chwilę wspólnego, *wraz* z innymi, przeżywania nawrócenia oraz pełnego ufności ogłoszenia aż do ustawienia całego naszego życia na niezachwianej podstawie, jaką jest sam Chrystus.

Czas sprawowania liturgii nie znajduje się więc obok innych godzin dnia, ale włącza się w nie jak światło, które ożywia, niepokoi, poprawia, albowiem jest to czas prawdziwszy i bardziej determinujący.

Pragnąc, by taka postawa stała się na trwałe własnością wszystkich parafian, uważałem za rzecz ważną być osobiście obecnym na każdej Mszy św. świątecznej, by wyjaśniać wiernym sens poszczególnych czynności oraz wydobywać treści istotne z tego, co mogłoby pozostać jedynie rzeczą spektakularną.

Skoro zaś uświadomiliśmy już sobie, że podstawą wspólnoty jako takiej jest liturgia, proponujemy każdej bardziej żywotnej części wspólnoty parafialnej udział we Mszy św. podczas tygodnia, w czwartek wieczorem, kiedy to Mszę koncelebruujemy.

Istnieje ogólna zachęta, by w każdym sprawowaniu liturgii wierni pełnili funkcje akolity, lektora, kantora, zbierającego na tacę... Wzrastająca coraz to bardziej świadomość liturgiczna nie pozwala zatem tolerować dyskryminacji wynikającej z uprzednio ustalonych funkcji i zadań, przekreślających możliwość czynnego włączenia się innych.

Przeświadczenie, że liturgia prawdziwie wychowuje, jeśli się ją tylko sprawuje w atmosferze (choćby nawet minimalnej) świadomości przeżywanej wspólnoty i *communio*, sprawia, iż nasze zachęty zmierzają do wytworzenia takiej właśnie atmosfery, i że — na przykład — chrzczimy zawsze w czasie Mszy św. niedzielnej lub świątecznej, bądź też czwartkowej, z tym, że po tej ostatniej następuje z reguły jakieś zebranie wspólnotowe (choćby Rady Duszpasterskiej).

Można by mnożyć takie przykłady... Muszę jednak także w tym miejscu wyznać, że wzrost troski o liturgię i większy dla niej szacunek wiąże się ściśle (i pozostaje w odpowiedniej proporcji) z wszystkimi mniej lub bardziej przewidywanymi okazjami nawiązywania kontaktów z ludźmi, do których zostałem posłany. Tak więc nawet wtedy, gdy sprawuję liturgię, czuję się zmuszony weryfikować moją postawę, mając na uwadze naszą wspólnotę

wynikającą ze chrztu i z wzajemnych więzi łączących mnie z wszystkimi uczestnikami zgromadzenia liturgicznego, a poprzez nich z tymi wszystkimi, o których modlitwy liturgiczne bądź też Opatrzność każą mi pamiętać, a także z wszystkimi ludźmi bez żadnych ograniczeń.

Zdaję sobie sprawę z tego, że ta niewielka zmiana mego nastawienia, moich ocen oraz mojej postawy w trakcie codziennych spotkań z ludźmi jest owocem tego odnowionego pragnienia, by sprawowanie tej nieosiągalnej Jedności trwało nadal w ciągu dnia bez jakichkolwiek znaczniejszych przerw.

c) Pierwszym kamieniem probierczym są *ludzie*, z którymi częściej się spotykam w ramach wzajemnej *współpracy i wymiany doświadczeń*: księży pracujący w parafii, zakrystianin wraz z rodziną, osoby odpowiedzialne za działalność charytatywną, za katechezę, korespondencję, administrację itp. Do nich trzeba dodać tych, którzy przychodzą (nie zawsze sami) z prośbą o udzielenie sakramentów św., by zasięgnąć rady, by porozmawiać, zamienić kilka słów.

W każdym tego typu spotkaniu staram się sobie uświadomić, kim jest dany człowiek dla mnie, albowiem jest to jedyny sposób pobudzenia go, by się zastanowił nad tym, kim ja jestem dla niego: refleksję taką uważam za najważniejszy owoc jakiegokolwiek spotkania. Gdy dostrzegam u rozmówcy opór albo niechęć do osobistego spotkania, wówczas staram się załatwić sprawę dokładnie, ale możliwie szybko, wykonuję to, czego się żąda ode mnie, i nie jest mi specjalnie przykro z tego powodu, że zostałem potraktowany wyłącznie jako narzędzie. Równocześnie pragnę gorąco, by ci wszyscy, którzy będą mieli ze mną do czynienia, nie odczuli w najmniejszym stopniu nigdy tego, że są narzędziami; a mogłoby się to zdarzyć wtedy, gdybym oczekiwał od nich tego, co mi może sprawić przyjemność, a nawet tego, co może być bardziej pożyteczne dla nich samych lub dla kogoś innego.

Pokusa instrumentalizacji człowieka dochodzi do głosu wówczas, gdy się oczekuje od niego określonej odpowiedzi, teoretycznej lub praktycznej, którą ma dać wyrzekając się prawdy swego osobistego stanowiska oraz rezygnując z przynależnej mu wolności.

Instynktownie odnoszę się z pewną nieufnością do spotkań, które nazwałbym oficjalnymi, albowiem zauważam, że ludzie przychodzą z określonymi zamiarami, nastawieni już z góry do takiego właśnie, a nie innego, zreferowania problemów. Wolę spotykać się z ludźmi tam, gdzie nie kieruje nimi taki utylitarny styl bycia światowego i gdzie się czują jak u siebie w domu: tam, gdzie nie muszę, albo nawet nie mogę kłaść specjalnego nacisku na moje kapłaństwo, względnie na fakt, że jestem proboszczem,

i gdzie uwzględnienie tych faktów uzależnione jest wyłącznie od ich osobistej decyzji. Lubię spotykać ludzi wolnych, z którymi można współpracować, ażeby stawać się wciąż kimś więcej, ożywiając i pogłębiając świadomość siebie samych.

Z ludźmi myślącymi inaczej ode mnie miałem, odkąd zostałem proboszczem (a więc od 16 lat), mniej chyba aniżeli dawniej, okazji do spotkań. Wynika to prawdopodobnie z faktu, że ci, którzy odcinają się w swym życiu od wiary, zbliżają się do mnie tylko wówczas, gdy dostrzegają poważne braki w stanie, w jakim się znaleźli, podczas gdy olbrzymia ich większość, chociaż poważnie cierpi na skutek przeżywanych niepewności, woli nie sprawiać tym komuś kłopotu, albo też nie życzy sobie rozmawiać o tym z kimś zupełnie innym. A przecież takie właśnie spotkania najbardziej mnie pasjonują, widząc zaś w nich bodziec i sens mego życia staram się przy każdej niemal okazji je prowokować.

We wszelkich podejmowanych przeze mnie przedsięwzięciach, bądź też w wydarzeniach, w których tylko uczestniczę, najbardziej leży mi na sercu konfrontacja prowadząca do pogłębienia znajomości, a nawet do przyjaźni. Takich też skutków oczekuję zawsze po spotkaniach wzmiankowanych wyżej grup współpracowników podejmujących różne działy pracy parafialnej.

Byłem zawsze przekonany, że podstawowym zadaniem każdego spotkania (a jest ich w życiu parafialnym tak wiele, może aż za wiele) powinien być osobisty pożytek jego uczestników, co nie przeszkadza, by samo spotkanie było okazją do zweryfikowania przeżywanej i wzajemnie uznawanej *communio*. Zauważyłem, że podejmowanie decyzji staje się o wiele łatwiejsze, a dyskusje przestają być długie i niejednolite, jeżeli dochowuje się wierności temuż kryterium. Przede wszystkim jednak kryterium jedności-*communio* sprawia, że moje odniesienie do poszczególnych członków różnych grup staje się o wiele prawdziwsze i że sam jestem wśród nich bardziej jako uczeń aniżeli nauczyciel: traktuję ich jako osoby mające własne doświadczenia, własną historię, która więcej znaczy aniżeli ich kompetencje, które nie były zresztą nigdy jedynym motywem wezwania ich do współpracy w danej grupie.

Nie w każdej grupie stosuje się tę zasadę z równą mocą; powiem jednak, że jest ona akceptowana przez wszystkich, zarówno współpracujących w administracji, jak w katechezie, prasie itp.

Może wydawać się rzeczą dziwną, że także w pracy katechetycznej na pierwsze miejsce da się wysunąć świadomość, iż życie jest *communio*; uważam jednak, że zarówno katecheza prowadzona dla ludzi zamieszkujących wielkie bloki mieszkalne, jak też katecheza inicjacyjna czy przedszkolna może wiele zyskać dzięki ta-

kiej właśnie świadomości. W rzeczy samej bowiem pomoc, jaką można dać w poznaniu i w zrozumieniu doktryny Chrystusa, polega przede wszystkim na przekazywaniu wiary oraz osobistych doświadczeń, mniej zaś na logicznej oczywistości intelektualnej. Uważam za pożyteczne, choćby nawet dla przewyciężenia tak wielu kompleksów i wewnętrznych oporów u tego, kto miałby współpracować z nami jako katecheta, ukazanie, że wiara nie jest owocem samego tylko studium, ale wynika z kierowanej praktyki, i że nie sprawia mi to żadnego kłopotu, że ktoś dostrzega moje zmęczenie długim mówieniem, albowiem to, co dojrzewa we mnie i w innych, jest nie tyle zrozumieniem, co wiarą, albo raczej ufnym oddaniem się do dyspozycji, a nie autonomicznym poznaniem.

2. Uważam, że po tym, co powiedziałem, nie zdziwi nikogo fakt, że nie dostrzegam wcale kwestii zawartej w drugim pytaniu dotyczącym kryzysu parafii. Ośmieliłbym się nawet stwierdzić, że kwestia jawi się wówczas, gdy mówiąc o parafii kładzie się akcent na jej aspekt strukturalny, a nie na wspólnotę osób, a więc; innymi słowy, gdy się chce podtrzymać lub utworzyć określony obraz parafii, mniej zaś myśli się o tym, by pomóc poszczególnym ludziom w życiu prawdziwie chrześcijańskim.

Postawię inne pytanie: czy parafia nie przeżywa kryzysu dlatego, że ten kryzys stał się udziałem chrześcijan? i że nie za bardzo już wiedzą, na czym polega ich godność i w czym tkwi ich specyfika?

Zdarza mi się często twierdzić, że parafia istnieje mocą osób wierzących („zjednoczonych w Jego imieniu”) i że zmniejszenie się ich liczby pomniejszyłoby parafię. Dopóki istnieją ludzie, którzy chcą żyć i którzy właśnie w parafii widzą przystań dającą im pomoc w realizacji tego pragnienia, jedynym kryzysem, jaki może mieć miejsce, jest to tylko, co wiąże się z normalnym rozwojem jakiegokolwiek miejsca życia.

Oblicze, jakie przyjmie z biegiem czasu parafia, zostanie określone typem osób, które będą z nią związane.

Powiedziałem o parafii, że jest miejscem pomocy i przystania. Postaram się wyjaśnić te stwierdzenia.

a) Mówiąc o *pomocy* mam na myśli nastawienie i działalność prawdziwie wychowawczą na drodze dojrzewania wiary.

Działalność taka wymaga przede wszystkim obecności osób starszych, dojrzałych w wierze: nie wystarcza bowiem być człowiekiem starszym, by tym samym być dojrzałym w wierze, zasadniczo jednak tylko człowiek dorosły może osiągnąć pewną dojrzałość wiary. Tacy ludzie będą zatem zawsze punktem wyjścia.

Trzeba także *pojmwować* parafię, we wszystkich jej struktu-

rach i dziedzinach życia, jako miejsce pracy prowadzącej do rzeczywistego nawrócenia. Chodzi o dziedziny życia i struktury pozostające w ścisłym związku (i niejako zsynchronizowane) z czasem modlitwy i z liturgią, tworzące jakby ciągłą i wyraźną katechezę, przejawiające się w świadomej i dobrze zaplanowanej działalności charytatywnej (w odniesieniu do maluczkich i biednych, do młodzieży, do chorych i upośledzonych, do misji, do różnorodnych prac społecznych i kościelnych).

Wymagania te jednak muszę w pierwszym rzędzie odnieść do siebie samego: to ja najpierw potrzebuję pomocy i muszę z niej korzystać, by żyć w sposób dojrzały wiarą, to ja w pierwszym rzędzie mam korzystać ze struktur utworzonych właśnie w tym celu. W przeciwnym razie grozi mi niebezpieczeństwo, że zastosuję do siebie, nawet nieświadomie, slogan: „parafia — to ja!” Uważam, że żaden proboszcz nie jest w stanie uniknąć całkowicie tego niebezpieczeństwa: ważnym jest jednak to, by ślady, jakie pozostawi poza swymi plecami, nie różniły się zanadto od tych, jakie sam Pan zechciał wyznaczyć wysyłając go do tej części swojej trzody. Patrząc zatem na to, co się dzieje, i na osoby, wśród których żyję, jestem w stanie uniknąć narzucania, wykrzywiania lub opóźniania drogi sobie samemu i innym.

Przypomnę przykładowo niektóre aspekty mego życia oraz tego, co się wokół mnie dzieje.

Miałem to szczęście, że przybyła do parafii niewielka grupa seminarzystów przebywających aktualnie na terytorium misyjnym; fakt ten ułatwił mi zaktualizowanie życia wspólnotowego wśród nas, kapłanów; widząc zaś konieczność odbudowania domu kanonickiego, starałem się zrealizować tę budowę z myślą o takiej jego funkcji. Dom ten stał się faktycznie miejscem wspólnych spotkań przy stole dla tych wszystkich, którzy czują się i chcą być związani wspólnym życiem jednoczącym nas wszystkich, poczynając od tych, którzy realizują swoje powołanie do życia w dziewictwie. I odwrotnie, gościnność, jaką także nam, kapłanom, ofiarowują zazwyczaj rodziny, nacechowana jest tą samą troską, by być wiernym swemu powołaniu i tej definitywnej przyjaźni.

Podobny styl postępowania zakorzenił się także wśród rodzin zaangażowanych w działalność różnych grup parafialnych, które realizują swe prace bądź to w domach prywatnych, bądź też w domu kanonickim. Uważam za rzecz pożyteczną, by ksiądz i chrześcijanie mieszkali w „szklanych domach” (pozwoliłoby to bowiem, między innymi, zlikwidować wiele plotek dotyczących naszego stylu życia).

Sam biorę często udział w różnych przejawach modlitwy wspólnotowej (Różaniec, Droga Krzyżowa, Godzina święta, Litur-



gia godzin, sakrament pokuty itd.), dostrzegając coraz to bardziej wielkie znaczenie tego udziału, a także pożytek płynący z samych tego rodzaju praktyk, których nie powinno się traktować jako „rzeczy do spełnienia”. Stąd zrodziła się idea Mszy św. wspólnotowej: raz w tygodniu odprawianej za wszystkich zmarłych, których pamięć obchodzono w poprzednim tygodniu, a raz na miesiąc za parafian zmarłych w poprzednim miesiącu. Myśli się o wprowadzeniu Mszy św. miesięcznej za rodziny, które przeżyły w poprzednim miesiącu uroczystość chrztu św., a także za osoby, które zawarły w tym czasie związek małżeński.

Następstwo rocznic i świąt staje się w ten sposób dla mnie coraz to bardziej jakimś opiekuńczym drogowskazem zawartym w roku kościelnym, który pozwala lepiej zrozumieć wielkie bogactwo tajemnicy chrześcijańskiej, przestaje zaś być zwykłym kalendarzem podającym suche daty.

Uświadamiam sobie jak bardzo, zwłaszcza w tej dziedzinie, postęp innych zależy ode mnie i nie może być pozostawiony mechanicznej „rutynie” czasu i jego okresów.

Również w działalności katechetycznej nacisk położony na dojrzałość dorosłych otworzył drogę formacji prowadzonej w wielkich blokach mieszkalnych poprzez spontaniczne kontakty różnych rodzin ze sobą. Katecheza staje się w ten sposób także zadaniem misjonarskim przyczyniającym się do ożywiania więzi wspólnotowej w tym systemie naczyń włoskowatych, jakim powinna być parafia; daje ponadto możliwość nieformalnego dialogu, zakrojonego na coraz to większą skalę i prawdziwego, mającego za swój przedmiot rzeczywistość przeżywaną przez ludzi, będącą punktem wyjścia do niezbędnych wyjaśnień i do nadania realnej wartości odniesieniom dotąd jeszcze nie uwidocznionym. Jest to swoisty rodzaj pracy, której rozwoju nie da się łatwo przewidzieć, ale też której nie można zaniedbywać.

Niemal całkowita ignorancja religijna jest faktem, który można by określić jako rzecz całkiem normalną: widać ją zawsze wtedy, gdy rodzice lub chrzestni zjawiają się, by omówić chrzest dziecka, gdy młodzież ma przystąpić do bierzmowania; nawet w kwestiach dotyczących małżeństwa ludzie ci mają wypaczone pojęcia. Wobec takiego stanu rzeczy trzeba zastosować przyśpieszoną kurację wprowadzając różnego typu spotkania, bądź też tzw. kursy przedmałżeńskie. W kilku przypadkach starałem się włączyć takie osoby we wspomniane już wyżej grupy z wielkich bloków mieszkalnych. Odczuwam jednak wielkie pragnienie, by stało się to czymś normalnym, albowiem uważam za rzecz nieodzowną udostępnienie tego typu ludziom możliwości kontynuowania swej drogi w gronie osób im znanych, łatwo dostępnych, oddanych: spotkania takie

mogą dać im znacznie więcej aniżeli suchy wykład, teoretycznie poprawny i systematycznie kompletny, ale nietrwały, mający na uwadze określony sakrament.

Dziedziną, w której zakres działania może osłabiać jego skuteczność, jest — moim zdaniem — w pierwszym rzędzie to wszystko, co się nazywa ogólnie „pracą charytatywną”. Organizacja może tu z łatwością wziąć górę nad uczestnictwem, zadania mogą przerosnąć zaangażowanie, chęć pokazania siebie może wypłynąć ponad hierarchię potrzeb, osiągnięcia obliczalne w liczbach mogą wyprzedzić troskę o faktyczny wzrost osób.

Dysponuję aż do dzisiaj jedną tylko kartoteką mych parafian, którą uaktualniam corocznie podczas kołedy (w okresie Bożego Narodzenia): jest to wykaz chorych i podeszłych wiekiem, którzy mają trudności, zwłaszcza w zimie, z wyjściem z domu. W parafii osób tego rodzaju jest około trzysta i chciałbym móc je wszystkie odwiedzać regularnie. Jest to jednak zadanie szczególnie trudne, które pozwala mi zrozumieć, co oznacza „miłość”, którą mógłbym z łatwością sprowadzić do wypełnienia tego czy innego zobowiązania (nawet przy pomocy kogoś innego), i że istnieje niebezpieczeństwo, że mógłbym się narzucać w sposób mniej odpowiedni i obciążający, chociaż z motywów bardzo szlachetnych.

Im bardziej czuję się osądzany moim postępowaniem (a więc im bardziej sobie je uświadamiam), tym łatwiej udaje mi się pozwolić na to, by inni budowali mnie swą zdrową i czujną wielkodusznością, oraz zachęcać do nieodzownego realizowania miłości wszystkich członków wspólnoty, a nie tylko przedstawicieli poszczególnych grup parafialnych.

b) Troska o dojrzałość i o dojrzewanie w wierze skłania ponadto do tego, by uświadamiać sobie warunki, w jakich ludzie normalnie żyją. To mam na myśli twierdząc, że parafia powinna być nie tylko miejscem niesienia pomocy, ale także *przystanią*, schronieniem otwartym dla wszystkich, niezależnie od granic terytorialnych, ale przyjmującym zwłaszcza te osoby, które do niej należą, wraz z ich problemami i roszczeniami.

Idąc tą drogą starałem się utworzyć grupę chrześcijan w jednej z fabryk: stołowałem się raz w tygodniu razem z nimi w ich stołówce przez przeszło rok czasu, co praktykuję nadal w innym kompleksie przemysłowym. Zostałem tam zaproszony przez jakiegoś osamotnionego chrześcijanina i żywię gorące pragnienie, by się otworzyły przede mną inne możliwości tego rodzaju. Spotykanie się i współpraca z tymi osobami pomaga mi właściwie ustawić całą moją działalność oraz uniknąć tego, że parafia stanie się dogodnym miejscem schronienia lub ucieczki, względnie narzędziem służącym celom prywatnym, moim lub kogoś innego; wyzwala

mnie także z pokusy klerykalizmu; daje mi konkretny obraz sytuacji społeczno-kulturalnej, w jakiej żyją ludzie, których spotykam na liturgii; ułatwia mi angażowanie się osobiste oraz dostosowywanych struktur parafialnych do propozycji i projektów przedkładanych przez ludzi poważnie zaangażowanych.

Sądzę, że niektóre inicjatywy są owocem tych właśnie spotkań i tego wzajemnego przyjmowania siebie; na pewno zaś nie są moim własnym, mniej lub bardziej narzuconym, pomysłem.

Mam na myśli przede wszystkim *Ośrodek Społeczny* wraz z jego grupą-szkolną, grupą-pracy, poradnictwem rodzinnym, grupą społeczno-polityczną, biurem opieki społecznej, spółdzielnią spozyców i innymi drobiazgami.

Podczas budowy domu kanonickiego (w latach 1973-74) ucieleśniało się coraz to bardziej moje pragnienie czegoś takiego, czym jest obecnie *Ośrodek Społeczny*. Stał się on rzeczywistością jedynie dzięki zaangażowaniu się niektórych przekonanych do tego osób, tak że jego krótka historia wiąże się ściśle z ludźmi, którzy nim kierują. Mój udział polegał jedynie na przypominaniu im prawdziwej i niezastąpionej podstawy tej fundacji zmierzającej do tego, by cała wspólnota chrześcijańska mogła w niej widzieć własne dzieło. W poufnej rozmowie z człowiekiem najbardziej odpowiedzialnym za *Ośrodek* (a jest nim przewodniczący stowarzyszenia, które by się ukonstytuowało prawnie w razie potrzeby) wyraziłem swe przekonanie dotyczące podziału funkcji przy zachowaniu wewnętrznej jedności, mówiąc, że uważam go za „proboszcza świeckiego”, podczas gdy ja będę „proboszczem kościelnym”. Wzajemne zrozumienie nie jest czymś, co można by kupić: wymaga ustawicznej, obustronnej uwagi, ale też przynosi pozytywne wyniki.

Zapytuję niekiedy siebie samego, czy dałoby się ustalić dokładnie, czym jest parafia a czym nie jest. Włączam się bowiem całym sercem w pracę misjonarską i kulturalną, o której mi mówią moi współparafianie, ale zarazem uważam, iż mogę z całym spokojem powiedzieć, że udało mi się nie pokrzyżować ani razu, ani też uwolnić się od odpowiedzialności także w przypadkach trudnych i konfliktowych. Z drugiej natomiast strony rzeczywistość *Ośrodka Społecznego* zawiera w sobie ciągle wiele działań tradycyjnie parafialnych, co się ostatnio ujawniło w ramach przygotowań do obchodów święta patronalnego.

Czyż nie jest to droga, która by ułatwiła współpracę — zawsze pożądaną, a wciąż jeszcze odległą — między parafiami tego samego dekanatu? My, kapłani, pilnie strzeżemy „naszych spraw”, podczas gdy ludzie świeccy włączają się o wiele bardziej bezpośrednio w to, co się wiąże z warunkami ich życia.

Widząc, jak się rzeczy mają, powiedziałbym, że zacieśnia się zasięg tego, czym jest parafia. Ze względu jednak na sam wpływ wychowawczy różnych działań trzeba stwierdzić, że nie chodzi tu o zacieśnienie wynikające ze stłamszenia, ale ze sprecyzowania i pogłębienia pewnych działań wiążących się ściśle z parafią. Jestem przekonany, że to zesrodkowanie działań właściwych parafii pozwoli — bardziej aniżeli jakieś działania zewnętrzne — na zachowanie, względnie na prawdziwą odbudowę wspólnoty chrześcijańskiej. Wydaje mi się także, że idąc tą drogą będziemy mogli my, kapłani, dysponować większą mocą misjonarską wobec szkoły, świata pracy oraz innych dziedzin życia, albowiem uda nam się wreszcie lepiej zadysponować naszym czasem poświęcanym, jak dotychczas, w nazbyt wielkiej mierze na czynności czysto biurokratyczne, chociaż także kościelne (nie chodzi mi o to, by je pomijać lub pomniejszać ich znaczenie, ale o to, by nie przypisywać im zbyt wielkich walorów „apostolskich”). Ludzie świeccy natomiast poczują się bardziej zobowiązani do zweryfikowania i do pogłębienia swej wiary, spotykając się na co dzień i na każdym miejscu z rzeczywistością wspólnie przeżywaną. Tym samym działalność „ewangelizacyjna” nie będzie się ograniczała do momentów liturgicznych i katechetycznych, lecz będzie realizowana poprzez „obecność” a także i „kulturę”.

Może trzeba będzie także nadać nowe znaczenie pojęciom „zaśpęstwo”, „pomocniczość” itp. z uwagi na relacje zachodzące między strukturami cywilnymi i kościelnymi. Byłoby to bowiem pomocne w naszej posłudze parafialnej.

Nie mogę zakończyć tych uwag o podlegających niewątpliwie dyskusji, lecz wynikających z konkretnego dążenia, by należycie spełniać w parafii funkcje proboszcza, więzach wspólnotowych bez zaakcentowania jednej rzeczy. Wiele zawdzięczam — nie mówiąc już o Chrystusie, co wynikało z mego świadectwa — ruchowi *Communione e Liberazione*, a zwłaszcza konkretnym w nim osobom, moim przyjaciółom, którzy starają się być wierni swemu powołaniu oraz dobrowolnie podjętym zobowiązaniom.

tłum. ks. Lucjan Balter SAC